Ewa Wierzbicka, gr.2, Sacrum

Sacrum

Poranek przywitał Klarę jesienną już wilgocią i choć promienie słońca, dogrzewały rozmiękłą od nocnego deszczu ziemię, nie czuła wcale ich ciepła. Mimo to lubiła tę porę roku, orzeźwiającą pierwszymi przymrozkami i zarazem rozgrzewającą wzrok nasyconymi brązami, czerwienią czy żółcią. Od kiedy pamięta, zapraszała ją ona na długie nadsańskie spacery, w czasie których gubiła się w gąszczu dzikiej nawłoci i szeleście barwnych liści. Miododajne wiechy żółtych kwiatuszków, porastających błonia, oblepiały pajęczyny, które surowy od wiatru wrzesień, rwał z ochotą, a niespokojne pszczoły swym brzęczeniem oznajmiały koniec lata. Fioletowe zaś osty zazdrośnie kłuły jej delikatne palce, gdy głaskała, po wyciąganych do słońca główkach, białe przymiotno. I jeszcze gdzieniegdzie na nasypie przeciwpowodziowym mogła przywitać się z błękitną cykorią podróżnikiem, która tak jak ona miała w sobie dużo goryczy.

Klara tego dnia nie zważała na to czy będzie padać, chciała jak najszybciej dostać się do swojej *świątyni dumania*, która rozpościerała się od brzegów rzeki aż po zagajnik pełen dojrzałych, pachnących słodyczą jeżyn. Będąc małą dziewczynką, chodziła do niego z dziadkiem. On trzymał wtedy mocno jej małą rączkę w swej spracowanej dłoni i opowiadał o zalotach ptaków, harcach wiewiórek, oberkach motyli czy bezwstydnej nagiej dżdżownicy, która przypadkiem wypełzła na ścieżkę. Te odległe w czasie wędrówki nigdy nie straciły dla niej uroku, wręcz przeciwnie z każdym kolejnym rokiem doprawiała je uczuciem tęsknoty, rozrzewnienia i miłości. Dziadek nauczył ją kochać kołyszące się źdźbła trawy, które pieściły jej policzek, gdy zauroczona przysiadała w gęstwienie. Pokazał jej jak można koić się szumem Sanu, leniwie płynącego w dolinie. Ale chyba najbardziej była mu wdzięczna za to, że rozbudził w niej apetyt na piękno. Dlatego obezwładniająco czarował ją jesienny zapach liści czarnych topoli, z których popękanej kory, o rysunku głębokich bruzd i listewek, dziadek robił dla niej łódeczki puszczane na wodę. Dziś także zamierzała nasycić się korzenną wonią małych, sztywnych, ząbkowanych na brzegach „serduszek”, które ozłociły wysokie drzewa.

Kiedy stała na skarpie tuż obok stawu, po którym dostojnie pływały dzikie kaczki, widziała w oddali iskrzący się jesiennym złotem „jej” nieistniejący już zagajnik. Miała

nieodpartą chęć, tak jak w dzieciństwie, zbiec ze zbocza, by później czuć tylko pulsowanie w skroniach i zmęczone drżenie w nogach. Zrobiła to!

Sfrunęła lekkością dziecięcych wspomnień ze wzniesienia i biegła ile sił do jeszcze rosnącej na obrzeżach błoni, *Populus nigra*. Z trudem łapiąc oddech, przytuliła się do pnia rosochatej topoli, górującej nad krajobrazem mechanicznego teraz parku, i wyszeptała słowa pełne przeprosin. Czuła się bowiem winna, że nie zapobiegła wycince jej czarnych sióstr, które podobno zagrażały bezpieczeństwu; że nie walczyła o te nadsańskie pomniki przyrody, a pozwoliła, by pamiątkowe tabliczki odpadały od ich ciepłej kory wraz ze zgrzytem chłodnej piły spalinowej. Widziała wtedy jak przy każdym uderzeniu topora, spadały cicho na ziemię ukochane liście topoli, z wierzchu błyszczące i ciemnozielone, a od spodu matowe i jaśniejsze. Wyglądało to tak, jakby wysokie drzewa, próbowały ich ogromem osłonić nagość odartych z życia gałęzi i konarów.

Klara wiedziała, że była wtedy świadkiem śmierci nadsańskich strażników jej dzieciństwa, dlatego dziś gładziła zapamiętale gruby, masywny pień, okazując drzewu radość ze spotkania. Nie przeszkadzały jej guzowate narośla z kępkami cienkich pędów, które z wiekiem pokryły pień. Nie dostrzegała brzydoty mocno spękanej i nasiąkniętej wilgocią kory, a wręcz przeciwnie z każdego zagłębienia chciała dotykiem wyczytać historię przemijania: jego walkę z lokalnymi podtopieniami, srogim mrozem, wyniszczającą suszą, zanieczyszczeniami powietrza przemysłowego miasta. Nagle jej wzrok, błąkający się z zachwytem po okazałej, złotej koronie, przysiadł na brzegu dziupli, do której z dziecięcą ciekawością chciała zajrzeć. Aby tego dokonać, musiała wspiąć się na palce i mocno przytulić do czarnej topoli. Kiedy zaczęła nerwowo badać „puszyste" wnętrze zagłębienia; było tam bowiem mnóstwo przywiedzionych wiosną przez wiatr białych, przypominających watę owocostanów; natrafiła na mały gałganek przewiązany spłowiałą wstążeczką. Klara próbowała go rozwiązać, choć instynktownie wiedziała już, co znajdzie w środku…

W drżącej dłoni trzymała kawałek różowego szkiełka obsypanego resztkami zasuszonych liści, które chroniły je przez tyle lat. Dawno temu dostała te barwne *okulary na świat* od dziadka, który mówił, by często patrzyła przez nie na ludzi, a wydadzą się jej przyjaźni i mądrzy. Niestety jako dziecko nigdy tego nie zrobiła, gdyż wolała wykorzystywać szybkę do robienia „widoczków". Skrywały one jej wszystkie tajemnice i urzeczywistniały marzenia o nieśmiertelnym pięknie. Pod różowym szkiełkiem chowała bowiem zerwane kwiatki bodziszka, owoce dzikiej róży czy długie kłosy jęczmienia. Układała te skarby jak płochliwa wiewiórka, w dołeczkach zrobionych jej małymi dłońmi, by na koniec dociskać je

mocno kolorową płytką i szybko zasypywać ziemią, aby nikt nie dowiedział się, gdzie ukryła małe zwierciadła prawdy. Prawdy o przemijaniu tego, co najcenniejsze. I tak jak kiedyś próbowała utrwalić doskonałość natury pod kruchą szybką, tak dziś, patrząc przez nią na ostatnią nadsańską topolę, chciała uwierzyć w słowa dziadka. Chciała owinąć pamięć o ukochanej osobie w mokry od łez zapach zielonych „serduszek" i z każdą chwilą, zaciskając na szkiełku palce, boleśnie czuła, że już nigdy więcej nie pozwoli, aby odebrano jej to, co stanowi esencję prawdziwego trwania…